

ROZDZIAŁ 2

Monika 'Monkizz' Feluś

Wakacje

13

Teraz...

— No, to wakacje nam się udały — mruknęła niewyraźnie przez chustkę zawiązaną na twarzy Anka, oglądając trzymaną w rękach zapakowaną rolkę bandażu. Ładując bębenek Magnum, starała się uważnie rozglądać dookoła.

Sceneria w niczym nie przypominała radosnego nadmorskiego kurortu wypoczynkowego, do jakiego przyjechała przed kilka dni. Co prawda wtedy też nie było tak ślicznie i kolorowo, jak obiecywały to foldery reklamowe i strony internetowe, ale czego można było się spodziewać po wypoczynku nad polskim morzem? Ani tu złote piaski, ani lazurowe wybrzeża, ani inne bzdety.

Były za to inne fascynujące rzeczy, dla których to Anka przyjechała nad morze. Teraz od nich mogło zależeć jej życie. I życie dzieci.

Mam dopiero dwadzieścia lat, przemknęło jej przez myśl, i nie chcę jeszcze umierać. Nie teraz. A dzieciaki? Pieprzone bachory — zakłęła w myślach, lecz natychmiast się opanowała. To nie były przede wszystkim jej dzieci. Poza tym dzieci to przyszłość narodu, jak to powiedział kiedyś jakiś klecha czy inny nawiedzony człowiek.

Trzy tygodnie wcześniej...

Gdy Anka stawiała się w biurze, nikt nie spodziewał się, że ta opryskliwa i kompletnie nieprzystosowana społecznie dziewczyna dostanie taką pracę.

— Dzień dobry. Nazywam się Anna Pakuła. Byłam umówiona z panią kierownik.

Sekretarka, delikatna blondynka w średnim wieku ubrana w nieskazitelnie białą, wykrochmaloną bluzeczkę, spojrzała z pewną obawą na przybyszkę. Zaniepokoiły ją położone na blacie biurka tuż przed nią blade ręce z pomalowanymi na czarno długimi paznokciami. Wspięła się wzrokiem po bladych rękach. Na jednej z nich widniał przykryty od góry rękawkiem bluzki drobny tatuaż przedstawiający czaszkę z różą w zębach. Wyżej, między ramionami, znajdowała się wisząca nisko wąska twarz okolona krótkimi, sterczącymi na wszystkie strony, czarnymi włosami. W sekretarkę wwiercała się para wielkich, jasnoniebieskich oczu, które otaczał ostry makijaż.

— Pani w jakiej sprawie? — zapytała, najmniej spodziewając się odpowiedzi, która właśnie padła.

— Ubiegam się o pracę.

Twarz sekretarki na ułamek sekundy skrzywiła się, lecz kobieta błyskawicznie opanowała ten grymas.

— Oczywiście — powiedziała, spuszczać wzrok na blat. Chciała uniknąć kontaktu wzrokowego z tą dziwną dziewczyną, stylizującą się na aspołeczną członkinię którejś niszowej subkultury. A może to tylko poza? Nie powinno się oceniać ludzi po wyglądzie.

Wtem kobieta wystraszyła się, gdy usłyszała nagły huk pękającego balona z gumy, którą żuła Anka.

— Sorry — uśmiechnęła się niezobowiązująco dziewczyna, patrząc w przerażone oczy sekretarki.

W tym momencie kobieta, która żywiła jeszcze jakąkolwiek nadzieję na to, że Anka jest tak naprawdę pospolitym człowiekiem kryjącym się pod maską odszczepieńca, straciła wszelkie wątpliwości.

Dwa tygodnie wcześniej...

Anka siedziała w autokarze niemal w bezruchu. Wpatrywała się apatycznie w zmieniające się za oknem widoki, a ilustracją dla przepływających za szybą lasów, pól, wsi i miast była grająca jej w uszach na największej głośności muzyka z pogranicza metalu i muzyki klasycznej. Wtem z morza melancholijnych jęków gitary i ciężko dudniących basów wyłowiło ją denerwujące trącanie w ramię. Zdjęła jedną słuchawkę i odwróciła się do swojej współpracownicy, Marty. Była to raczej pogodna i miła kobieta starsza od Anki jakieś dziesięć lat, lecz teraz jej twarz przybrała surowy wyraz. Otworzyła usta i coś powiedziała, ale Anka nie mogła zrozumieć niewyraźnego szeptu. Uznała to za złośliwość ze strony współpracownicy. Zdjęła drugą słuchawkę.

— Powtórz — powiedziała bez emocji. Tamta westchnęła ze zniecierpliwieniem.

— Mówię, że twoja grupa strasznie hałasuje na końcu autokaru. Idź do nich i ich uspokój.

Anka wzruszyła ramionami i włożyła jedną ze słuchawek do ucha. Też zawracanie głowy taką głupotą.

— Nic z tym nie zrobisz? — zdziwiła się i obruszyła jednocześnie Marta, podnosząc nieco głos. A jednak dało się mówić nieco głośniejszym głosem, pomyślała Anka.

— A co mogę zrobić? Są młodzi, niech się wyszaleją. — Oczy Marty urosły do rozmiarów pięciozłotowych monet. — Myślisz, że to coś da jak tam do nich pójść i nakrzyczeć?

Anka włożyła drugą słuchawkę do ucha. Już właśnie udzielał jej się nastrój kolejnego utworu, gdy nagle znów poczuła irytujące potrząsanie ramienia. Za pierwszym razem zignorowała. Ale Marta nie miała zamiaru tak szybko się poddać.

Po pewnym czasie zrezygnowała widząc, że to nic nie daje. Przecież nie będzie się skarżyć kierownikowi kolonii na wychowawcę innej grupy jak dziecko z podstawówki, poza tym nie będzie żadnych dowodów na obojętność Anki na wybryki dzieciaków podczas podróży kolonistów i ich opiekunów do celu. Zrezygnowana Marta po jakimś czasie sama poszła do dzieciaków, tracąc tym samym na autorytecie w oczach grupy swojej i Anki. Anka mimo tego, że była odwrócona od Marty, wyczuła ruch fotela, gdy ta się z niego podniosła, by iść do dzieciaków. Spojrzała na swoje niewyraźne odbicie w szybie, za którą migwały polskie szerokie pola uprawne i uśmiechnęła się do siebie nieznacznie, świętując triumf.

Tak jednak się nie stało. Cofając swoje marzenia do momentu drugiego potrącenia w ramię, Anka odwróciła się do Marty, rzuciła coś niemilego, zabrała swoją torbę i specjalnie jeszcze przyciskając tyłkiem współpracownicę do fotela, wyprowadziła się z przednich miejsc służących wychowawcom grup kolonijnych na tyły autobusu.

— Cześć, ludzie! — powiedziała, uśmiechając się do młodszych od siebie jedynie pięć — sześć lat chłopców i dziewcząt. Na widok starszej od siebie osoby nabrali przesadnej czujności i uciszyli się. Nie zraziło to Anki.

— Widzę, że integracja pełną parą. Pozwólcie, że dołączę do was. Jestem waszą wychowawczynią na kolonii. Nazywam się Anka. Zrobicie miejsce?

Kilka osób się rozsunęło i Anka usiadła między nieco jeszcze speszonych młodzieńców. Żeby dodatkowo ocieplić stosunki między sobą a grupą, wyciągnęła paczkę chipsów ze swojej torby. Ot, takie małe przekupstwo, chwyt psychologiczny.

— Częstujcie się — otworzyła paczkę i kolejno podała każdemu. Gdy już każdy miał z nią styczność, a wielu odmówiło, położyła paczkę na

podłódze przed sobą i wtedy ci bardziej nieśmiali zaczęli się również częstować.

— Opowiem wam coś o sobie i wyznaczę kolejną osobę, a ta kolejną i tak dalej. Niech każdy coś o sobie powie. Później zagramy sobie w takie „Jeden z dziesięciu”, a pytania będą dotyczyły nas. Zgoda?

Żeby przełamać pierwsze lody, Anka opowiedziała kilka mało wiążących faktów o sobie i wyznaczyła kolejną osobę. Dostyc nieśmiała Aleks, jak zwali ją znajomi, skracając jej pełne imię, z początku niechętna temu pomysłowi, później bawiła się najlepiej ze wszystkich. Szczególnie gdy zabawa doszła do „Jednego z dziesięciu”, gdzie każdy był pytany o szczegóły dotyczące innej osoby. Nie można było uwierzyć, ile radości i śmiechu może być przy pomyleniu się w kwestii posiadanych zwierzątek czy rodzeństwa. Teksty typu „Przy takim domowym zoo z moją alergią długo bym nie pociągnął”, „Gdybym słuchał takiej muzyki, to by znaczyło, że oszalałem” czy „Jak na razie jestem jedynym depozytem genów moich rodziców” bawiły nawet Ankę.

Najważniejsze było to, że grupa była już zżyta ze sobą i ze swoim wychowawcą. Niecierpliwa Marta musiała z tym poczekać dopiero aż do przyjazdu do Jastarni.

Tydzień wcześniej...

— Wniosę skargę do kierownika kolonii. — Marta nie miała zamiaru odpuścić. — Masz bardzo zły wpływ na młodzież.

Anka spojrzała obojętnym wzrokiem na stojącą w głębi pokoju wychowawców współpracownicę i zaciągnęła się papierosem.

— Co niby źle robię? No, powiedz mi.

— Palisz papierosy! Pijesz alkohol! To demoralizacja! To na kolonii niedopuszczalne! — wzburzyła się Marta.

Anka zaśmiała się i strzepnęła popiół wystawiając rękę daleko przez okno, w którym stała.

— A czy widziałaś któreś z moich dzieciaków z fajką czy puszką piwa? Sama powiedz.

Marta zacisnęła usta z zawiścią.

— Kierownik i tak się o tym dowie — zapewniła jadownicę.

— Hmm... — zaciągnęła się Anka. — Może powinien w takim razie dowiedzieć się także innych ciekawych rzeczy?

— Jakich...? — Marta zamieniła się w posąg o twarzy wyrażającej niepokój.

— Na przykład, że pewna wychowawczyni romansuje z jednym z podopiecznych.

Marta spurpurowiała i zdawało się, że zaraz głowa pęknie jej jak balon.

— Nie masz żadnych dowodów. — Podeszła blisko Anki i wpatrywała się w nią wściekłymi, ciskającymi błyskawice oczkami. Dziewczyna dmuchnęła jej w twarz dymem papierosowym.

— Jeśli zdjęcia wykonane telefonem nie są wystarczającym dowodem...

Marta chwyciła szybkim ruchem leżący na nocnym stoliku telefon Anki i zaczęła z uporem maniaka przeglądać dane.

— Zimno, zimno — powiedziała Anka, uśmiechając się lekko pod nosem. Strzepnęła resztkę popiołu i wyrzuciła papierosa. Zamknęła okno i odwróciła się do Marty. — Chyba, że masz zamiar odebrać telefony całej kolonii, żeby sprawa się nie wydała. Ale dzieciaki chyba nie będą do tego przekonane, prawda?

Anka podeszła do Marty i wystawiła do niej rękę.

— Możesz mi oddać mój telefon? Chcę być w kontakcie z grupą, jakby chcieli gdzieś wyjść w czasie przerwy poobiedniej. — Zrezygnowana Marta z zawiścią w oczach położyła telefon w otwartej dłoni. — A może dasz się zaprosić na piwo?

— Wychodzisz czy mam cię wyprosić? — Marta nie wytrzymała.

— Wychodzę, wychodzę — mruknęła Anka i Marta usłyszała za sobą tylko trzaśnięcie drzwiami.

Była zbyt roztrzęsiona, żeby cokolwiek uczynić, więc przez kilka minut stała w jednym miejscu zaciskając i otwierając pięści, regulując przy okazji oddech. Gdy już w miarę się uspokoiła, usiadła na brzegu swojego łóżka i przeczesała dłonią włosy.

Wiedziała, że z nią jest coś nie tak, myślała Marta, marszcząc brwi, ta dziewczyna jest nienormalna. To, że studiuje jakąś pedagogikę czy psychologię nie oznacza, że będzie na mnie zastawiać pułapki. Trzeba znaleźć na nią haka. Wygryźć ją. I nie pozwolić się zastraszyć.

Marta była coraz bardziej zdeterminowana, a w jej głowie powoli rysował się plan działania...

Dwie minuty później...

Anka zapakowała wszystkie materiały opatrunkowe do apteczki i spróbowała ją włożyć do plecaka, ale był on już pełen koców, swetrów i butelek wody. Westchnęła i postanowiła trzymać apteczkę w rękach.

Policzyła do trzech, po czym wychyliła się zza rogu korytarza i pobiegła. Przeskoczyła na leżącym po drodze bezwładnym ciałem jednego z podopiecznych pana Piotrka, którego unieszkodliwiła wcześniej solidnym uderzeniem walizką w skroń. Wokół leżały porzucane ubrania, które wypadły z walizy podczas jej nietypowego użycia.

W tym momencie runęła jak długa, a rączka apteczki wypadła jej z ręki. Odwróciła się na plecy, a zastrzyk adrenaliny, jaki zafundował jej organizm, wyłączył czucie bólu w ściskanej kostce, tkwiącej w żelaznym uścisku dłoni pozornie bezwładnego ciała około czternastoletniego chłopaka.

Wtem chłopak podniósł głowę. Jego twarz, wyglądająca jak maska wściekłego demona, zalana była kilkoma nieregularnymi strugami zasychającej krwi, a z ust ciekła żółtawa ślina.

Nie wygląda na zadowolonego, pomyślała idiotycznie Anka, usiłując wyrwać się z uścisku, pewnie będzie się mścił za to uderzenie walizką.

Chłopak przysunął do ciała drugą rękę i usiłował chwycić i przyciągnąć do siebie rywalkę. W odpowiedzi dziewczyna kopnęła go w dłoń. Ścisnęła w ręce Magnum i przełykając z trudem kulę rosnącą w gardle wycelowała w głowę chłopaka. Ten wydał nieartykułowany dźwięk, jakby rozumiał, co po tym nastąpi.

Bardzo ludzko patrzy, przeraziła się Anka, mimo że w zwyczajnej sytuacji nie skrzywdziłaby nawet owada. Ale sytuacja była wyjątkowa, i poza tym, że chłopak wykazywał jedynie przebłycki człowieczeństwa, człowiekiem najprawdopodobniej nie był.

Półtora dnia wcześniej...

— Przykro mi, ludzie — oznajmiła Anka swojej grupie, gdy już wyszli ze stołówki i zbrali się przed budynkiem na prośbę swojej opiekunki. Jej mina i początek wypowiedzi spowodował pomruk wyrażający niezadowolenie wśród młodych ludzi. Już teraz było wiadomo, że wiadomości są naprawdę nieciekawe.

— Niestety, zapowiadana na początku kolonii wycieczka statkiem na Bornholm nie będzie mogła się odbyć.

— Coooo? Łeee... — rozległ się pełen rozczarowania jęk. Wszyscy wyczekiwali tej wycieczki jako okazji do poznania morza bliżej niż do 30 metrów od brzegu. Dodatkowo dla niektórych byłaby to szansa ku temu, żeby po raz pierwszy przekroczyć granicę kraju.

Anka wzruszyła ramionami zwieszając głowę smutno jak jej grupa.

— Przykro mi — powiedziała z prawdziwym żalem, gdyż sama nie była nigdy w Danii, a tym bardziej na duńskiej wyspie i nie miała nic przeciwko, żeby zwiedzić obce ziemie. — Może słyszeliście ostatnio, co się dzieje między Estonią a Danią. Niestety, ale w obecnej sytuacji będziemy musieli zrezygnować z wycieczki. W zamian kierownik proponuje rejs po Zatoce Puckiej.

— Chcemy Bornholm! — krzyknął ktoś z tłumu.

— Proszę, nie komplikujcie sprawy — Anka uniosła ręce w geście pojednania — nie chcemy dodatkowych problemów. Też chciałabym jechać na Bornholm, ale te decyzje nie zależą ode mnie.

— Ale dlaczego? Ja na przykład nie chcę jechać do Pucka! — oburzyła się drobna blondynka, marszcząc jasne brwi — Od początku kolonii czekam na rejs na Bornholm!

Do dziewczyny dołączyły inne głosy protestu, które połączyły się w kakofonię skarg. Anka po raz pierwszy od początku kolonii poczuła się bezradna. Nie wiedziała, co zrobić, żeby zadowolić dzieciaki. Zagryzła wargę, próbując szybko wymyślić coś lepszego niż zastępcza wycieczka nie wywołująca entuzjazmu. Ciemność w jej głowie mieszała się jak gorąca smoła w kotle nachalnych protestów grupy. Spomiędzy warstw gęstej mazi bezkształtnych myśli zaczęły pojawiać się przebłyski jasnego światła zajmujące coraz więcej miejsca. Nagle doznała olśnienia, a jej umysł zmienił się w wypełnioną jaskrawym światłem komnatę.

— Dzieciaki! W przerwie poobiedniej wszyscy do mnie! Spotkajmy się u dziewczyn spod piątki, zgoda? Mam dla was propozycję nie do odrzucenia — Anka porozumiewawczo mrugnęła okiem i szybkim, marszowym krokiem odprowadziła grupę do pokoi.

Dwie i pół minuty później...

Ręka drżała Ance, gdy brała jako cel na muszkę Magnum głowę chłopaka. Powtarzała sobie w duchu, że istota ta jest jedynie imitacją człowieka, jednak nie wierzyła do końca swoim słowom. Zaczęła w panice

chwytać powietrze, a serce waliło jej jak młotem. Chustka rytmicznie nadymała się i przyklejała do twarzy, razem z wilgotnym oddechem.

Opamiętała się w momencie, gdy chłopak z dzikim wrzaskiem chwycił drugą ręką jej kostkę i przyciągnął dziewczynę do siebie. Anka krzyknęła jak mała dziewczynka i zrobiła to, co podpowiedział jej instynkt zapominający o wspaniałomyślnych wynalazkach cywilizacji...

Kopnęła chłopaka wolną nogą w twarz. Jego nos został złamany, a usta rozcięte. Krzyknął, wydając upiorny bulgot z zalewanego krwią gardła, wyrażając jednocześnie ból i złość. Otrzymał jeszcze kilka kolejnych potężnych ciosów, którym towarzyszył nieprzyjemny chrzęst pękających kości twarzy. Wtedy dopiero uścisk w kostce zelżał, a ciało przeciwnika ostatecznie znieruchomiało.

Anka wyrównała oddech, wpatrując się przez chwilę jak zahipnotyzowana w bezwładne ciało. Nie wiedziała, czy chłopak żyje, czy nie. Ale w tej chwili nie było to istotne. Chyba lepiej było, że chłopak został unieszkodliwiony, a nie Anka, której intencją było niesienie pomocy, a nie sianie zniszczenia.

Gdy ostrożnie wysunęła nogę ze skurczonych palców chłopaka i usiadła roztrzęsiona, by uspokoić bicie serca, nagle doszedł ją cichy szmer dobiegający zza pleców. Anka odwróciła się spanikowana i zobaczyła wiszącą nad sobą koszmarną twarz z zapadniętymi, błyszczącymi oczami i spływającymi z ust nitkami żółtej śliny. Szybko się poderwała i natychmiast potknęła na ciele chłopaka. Zdążyła jedynie podnieść broń przed siebie i strzelić na oślep. Runęło na nią bezwładne ciało Marty. Anka spojrzała na leżącą na jej podolku dziurawą głowę kobiety i natychmiast się zerwała z miejsca. Nie miała pewności, czy choroba trawiąca od wczoraj ciała uczestników tegorocznej kolonii w Jastarni przenosi się również przez krew...

Anka spojrzała na dymiącą jeszcze lufę Magnum trzymanego w drżącej ręce i poczuła, jak nogi jej miękły. Porwała więc apteczkę z podłogi i przebiegła przez korytarz z prędkością, jaką osiągnęła chyba po raz pierwszy w życiu.

Jeden dzień i dziesięć godzin wcześniej...

— Wszyscy są? — zapytała Anka, zamykając za sobą drzwi. Odwróciła się do kolonistów, którzy rozsiedli się na łóżkach i podłodze w

pokoju wychowawców. Uśmiechnęła się i usiadła tak, by wszyscy ją widzieli.

— Mam propozycję — zaczęła konspiracyjnym tonem. — Skoro nie możemy jechać na Bornholm, a do Pucka nie chcecie, proponuję wam dużo bardziej ekscytującą wyprawę, przygodę, którą zapamiętacie do końca życia... Musimy uzyskać tylko zgodę kierownika.

— O co chodzi? — zapytał zainteresowany chłopak, zdmuchując z czoła pasma grzywki.

— O nocowanie w bunkrach poniemieckich podczas ostatniej nocy na kolonii. Poczujemy się jak zamknięci w betonowym schronie żołnierze w czasie działań wojennych. Zrobimy sobie nocną ucztę z opowiadaniem mrozących krew w żyłach opowieści.

W ramach odezwy rozległ się wyraz uznania z ust kilku osób w postaci przeciągłego, konspiracyjnego „łaaaaaał”.

Gdy już porozmawiali o tym pomysłe i wszyscy, poza jedną dziewczyną w typie Barbie, wyrazili się o nim z aprobatą, Anka powiedziała, że pójdzie zapytać o zgodę kierownika kolonii, gdyż bez niej nie można nawet sobie robić nadziei na taką atrakcję.

Mimo to, gdy spotkanie zostało uznane za zamknięte, Anka szła korytarzem w stronę pokoju wychowawców rozpromieniona jakby urosły jej skrzydła motyla.

Trzy minuty później...

Anka stanęła w miejscu, gdzie korytarze łączyły się w jeden ciąg, prowadzący prostopadle do drzwi wyjściowych. Łapała ciężko oddech, co dodatkowo utrudniała jej chustka na twarzy. Nie miała jednak zamiaru jej zdejmować, gdyż nie wiedziała, czy choroba przenosi się przez powietrze.

Serce waliło tak mocno i szybko, jak u wróbelka, a jej ciało było zroszone zimnym potem. Spanikowała.

Był z nią jeszcze jeden ochotnik... Mieli się spotkać w tym miejscu i wrócić razem do reszty grupy. Ale jego nie było. Nie mogła sobie przypomnieć, czy umawiali się na konkretną godzinę. Po chwili zorientowała się, że jej zegarek jest rozbity. Zaklęła. Miała nadzieję, że chłopak nie wpadł na wspaniały pomysł pozostania w tym miejscu.

Podniosła Magnum i wycelowwała przed siebie. Rozglądała się dookoła i nasłuchiwała, próbując uchwycić najlżejszy przejaw czyjejkolwiek obecności.

Zaczęła się martwić. A jeśli coś go zaatakowało? Jeśli się zaraził? Nie można dopuścić do tego, żeby zarazić pozostałą przy zdrowiu resztę. Trzeba będzie podjąć radykalne kroki.

Serce w niej zamarło, gdy uświadomiła sobie, że w takim przypadku będzie musiała własnoręcznie zabić chłopaka, by przerwać łańcuch choroby.

Krew zmroziło jej dotknięcie w ramię. Odwróciła się i nieomal strzeliła. Przed nią stał w całej swej zdrowej okazałości jeden z jej wychowanków. Obejrzała go od stóp do głów. Był cały i zdrowy, a na każdym ramieniu miał po plecaku pełnym skarbów.

Anka myślała, że ze wzruszenia zemdleje. Zamiast tego, niespodziewanie zarówno dla kolonisty jak i siebie, objęła go. Natychmiast się opamiętała i nakazała wyjść stąd najszybciej i najciszej jak tylko się dało.

Dwanaście godzin wcześniej...

Siedzieli cicho w zimnym i ciemnym bunkrze na użyczonych przez ośrodek wypoczynkowych materacach. Stojąca pośrodku kręgu ludzi latarka wymierzała żarówką środek stropu nad nimi, malując na czarnym suficie żółte koło. Jeden z kolonistów opowiadał właśnie jakąś mroczną historię, a wrażenie grozy opowiadania potęgowało padające na niego pod dziwnym kątem światło latarki, wydobywające z zakamarków krzywizn twarzy koszmarnie, wydłużone cienie.

— ... i wtedy nastąpił olbrzymi wybuch — kontynuował chłopak urozmaicając mimikę, przez co jego twarz wyglądała jakby należała do istot zamieszkujących najniższy krąg piekła. — Potężny wybuch, który zniszczył cały świat, jaki znali ludzie. Zniszczył on też ludzi i nikt nie pamiętał już, jak wyglądała Ziemia za panowania człowieka. Po ludziach przyszły szczury, panujące niepodzielnie we wszystkich dziedzinach cywilizacji, przewyższając tempo rozwoju osiągnięte przez człowieka, gdy jeszcze do niego należała Ziemia. I szczury panowały już po wszystkie wieki wieków... — skończył, robiąc mroczną minę. Rozejrzył się po słuchaczach.

— Amen. — odezwała się któraś dziewczyna automatycznie. Przez grupę przebiegł stłumiony śmiech.

— Świetnie — powiedziała Anka z wyrazem uznania w głosie. Wychyliła się z mroku. W świetle latarki było widać tylko blady owal jej twarzy i dwie świecące jak płomyki źrenice w czarnych dziurach pomalowanych mocnym cieniem oczu. Mimo że opowieść młodzieńca w kilku miejscach wykazywała nieścisłości i czasami zawierała jakiś gramatyczny błąd, to jednak Anka była pod wrażeniem rozwiniętej wyobraźni swojego podopiecznego.

— Naprawdę świetne. Masz człowieku talent, nie zmarnuj go. Powinieneś pisać opowiadania — zachęciła Anka wstając z materaca. Pochyliła głowę, by nie uderzyć w niski strop.

— Piszę — odparł nieśmiało chłopak.

— O! — ożywiła się Anka. — W takim razie wyślij mi na e-maila, jak wrócisz z kolonii. Chętnie poczytam. O adres się upomnij, bo ja mogę zapomnieć.

Anka przemieściła się przez środek kręgu w stronę wyjścia, starając się nie potraścić nikogo swoimi długimi nogami.

— Dzieciaki, ja idę zapalić, bo nałóg mnie woła, a nie chcę wam tu nadymić. Nie palcie i nie zaczynajcie palić, proszę was — powiedziała, znikając w ciemnym tunelu. — Zaraz wracam — rozległo się z oddali, po czym młodzież usłyszała dźwięk odkrywanej i zamykanej klapy oddzielającej bunkier od świata zewnętrznego.

Anka stała w połowie szerokości plaży i spoglądała w stronę szumiącego morza. Bryza unosiła jej włosy, niesforne kosmyki latały dookoła twarzy, a płomień w zapalniczce co chwila gasł. Wreszcie odpaliła papierosa. Zaciągnęła się i dmuchnęła w stronę bladych gwiazd dymem, który natychmiast się rozwiął, porwany przez wiatr. Noc była jasna, nad horyzontem unosiła się blada luna, jakby słońce schowało się za poziomą linią morza tylko na chwilę. Były to dni, kiedy noce są jeszcze bardzo krótkie. Za godzinę słońce miało wzejść.

Szara godzina, pomyślała Anka, jakby czas zatrzymał się w miejscu na tą dziwną część doby, kiedy nocne marki właśnie kładą się spać, a zwykli ludzie jeszcze nie wstali.

Anka odwróciła się za siebie, słysząc krzyk wbiegających na plażę podopiecznych. Była to najbardziej przebojowa trójka kolonistów w tej grupie, liderzy, którzy od czasu do czasu robili z siebie drobne pośmiewisko, by utrzymać uzyskaną pozycję w grupie. Dwoje chłopców i

młodsza od nich o rok dziewczyna pojawili się przy Ance. W takich chwilach nawet ona musiała ukryć brak pewności siebie i nieufność pod grubą skórą nosorożca.

— Psze pani, przyszedliśmy pani potowarzyszyć — odezwał się jeden z nich, stylizujący się na skejta. Towarzysząca im dziewczyna zaśmiała się. Mimo że było grubo po północy, tuż przed wschodem, jej oczy skryte były za okularami przeciwsłonecznymi. Anka obejrzała ich w półmroku. Ten wymoczek wygląda, jakby walił kłocę w te same pory od tygodnia i nie chciało mu się ich przebrać, pomyślała z niesmakiem o skejcie. Ludzie będący kopiami gwiazd lub chodzącymi pokazami mody, których dodatkowo charakteryzowała inteligencja rzędu jedności, nie wzbudzali jej szacunku.

— Bo pani taka samotna — zaśmiała się dziewczyna, ale brzmiało to jak szyderstwo. Ance ścierpła skóra na karku.

— Człowiek czasem potrzebuje samotności — odezwała się Anka, zniżając głos. — Wy tego jeszcze nie rozumiecie, ale i na to przyjdzie czas. Człowiek nie może cały czas udawać kogoś innego niż jest przed innymi. Nie może wiecznie skakać jak małpa na smyczy, żeby zadowolić pozostałych. Jeśli przed ludźmi zakłada się maski, prawdziwym sobą jest się dopiero wtedy, gdy nie ma nikogo w pobliżu.

Anka wysiliła wzrok, by dojrzeć wyrazy twarzy kolonistów. Ale wystarczająco dużo mówiła znacząca cisza.

— Chciałbym palić to, co pani — powiedział drugi chłopiec, naśladując ton pełen uznania. Anka warknęła w duchu. Za nic mają jej pouczający wywód, traktując go jako narkotyczny omam.

— I tak mózgu by ci to nie wróciło... — powiedziała Anka, zdeptując w piasku niedopałek.

Już miała powiedzieć, żeby wracali do bunkra, bo już najwyższy czas spać, a ona nie chce, żeby koloniści pałętali się po lesie i plaży samopas, bez wiedzy i zgody wychowawcy, dodając do tego kolejny niezrozumiały przez nieliczne zwoje mózgowy wychowanków wywód edukacyjno—umoralniający, okraszony soczystymi opisami psychicznej i fizycznej męki człowieka zgubionego w lesie pełnym dzikich zwierząt (oni pewnie wierzą, że w tym wąskim pasie marnego lasu żyją niedźwiedzie i tury), gdy nagle dziewczyna wskazała palcem w niebo i krzyknęła:

— Spójrzcie! Spadająca gwiazda!

Wszyscy skierowali wzrok za długim paznokciem brunetki. Faktycznie, po niebie leciał świetlisty punkt, znaczący jaskrawym pasmem przebytą drogę.

— Za wolno leci — zauważył skejt.

— Może to międzynarodowa stacja kosmiczna? — zaproponował drugi.

— Na pewno nie, stacja nie zostawia warkocza. A gdyby był to satelita, migotałby. — włączyła się Anka.

— Balon meteorologiczny? — zamyślił się skejt. Anka spojrzała na niego zdziwiona, że zna taki trudny termin.

— Ja i tak pomyślę życzenie — uparła się dziewczyna. Zaciskając usta i dłonie pochyliła głowę i wreszcie zamilkła.

— Patrzcie, jeszcze jeden! — krzyknął jeden z chłopców. Faktycznie, po niebie od wschodu sunął drugi, podobny obiekt.

— A może to UFO? — szepnął konspiracyjnym tonem drugi i zakradłszy się do dziewczyny, krzyknął jej do ucha, a ona odskoczyła z przeraźliwym piskiem.

Na niebie pojawiło się więcej dziwnych ciał poruszających się łukiem ze wschodu na zachód.

— Nie straszcie, chłopaki — powiedziała już mniej pewna siebie dziewczyna drżącym głosem. Cofnęła się, schowała głowę w ramiona i lekko się zgarbiła. — Boję się.

Wtem i Anka poczuła potrzebę powrotu do bunkra. Coś było nie tak. W obawie przed nieznanym i ona zaczęła zachowywać się niespokojnie.

— Wracajmy — powiedziała do podopiecznych i skierowała się ku bunkrowi. Te „gwiazdy”, które pojawiły się jako pierwsze, zniknęły już za horyzontem. Słońce skrywające się jeszcze za linią horyzontu już zaczęło złościć niebo na wschodzie, ale mimo to w najciemniejszej części nieba, na zachodzie, rozbłysły blade światła.

— Boi się pani UFO? — zaśmiał się któryś chłopak.

— Czas już wracać — rzuciła za siebie Anka, mimowolnie przyspieszając kroku. — Zostańcie, jak chcecie, żeby coś wam się stało.

Z oporami ruszyli za nią.

W bunkrze nikt nie wiedział o tym, co widzieli ci, którzy w tamtej chwili wyszli na zewnątrz. Anka leżała zawinięta w śpiwór udając, że śpi. Nie chciała z nikim o tym rozmawiać. Dzieci nie były najlepszymi powiernikami takich tajemnic. Oczywiście nie miała wpływu na to, o

czym rozmawiała trójka kolonistów, która dołączyła do niej nad brzegiem morza, ale zauważyła, że rozmawiali o tym tylko między sobą, konspiracyjnym tonem, nie pozwalając, aby tajemnica doszła do uszu innych. Miało to swoje praktyczne zalety – nie mogąc przewidzieć zachowania dzieciaków po takiej rewelacji, Anka wolała uniknąć dwóch najbardziej skrajnych reakcji – euforii lub hysterii.

Cztery godziny wcześniej...

Gdy upewniła się, że wszyscy śpią, po cichu wyszła z bunkra i przedzierając się pospiesznie przez las wbiegła na plażę. Już w biegu zauważyła wiele niepokojących zwiastunów czegoś dotąd niespotykanego. Serce waliło jej w piersi, jakby chciało przebić się przez żebra i wyskoczyć na zewnątrz, a płuca nie nadążały z oddychaniem. Irracjonalnie pomyślała o potrzebie rzucenia palenia.

Nad czarnymi jeszcze szczytami sosen wisiało ciężkie, czerwone niebo, poorane rozpływającymi się w stratosferze smugami białych spalin, jakie zostawiają za sobą samoloty. Drżąc z niepokoju Anka pomyślała, że niebo wygląda jakby spływało krwią.

Krótki pas lasu rozstał się i Anka wbiegła na plażę. Teraz miała panoramiczny widok na niebo i morze. Tylko, że niebo było czerwone jak wielki, odwrócony do góry dnem gliniany garnek, którym ktoś nakrył ziemię, pełen pełzających po jego wnętrzu białych czerwi, którymi były liczne białe smugi, natomiast morza nie było widać.

Przerażona tym Anka dobiegła do miejsca, gdzie jeszcze przed kilkoma godzinami spienione fale uderzały o piasek. W tym miejscu widoczny był tylko zielonkawy osad, przypominający o niedawnej granicy między królestwami morza i lądu. Dalej natomiast rozciągał się makabryczny widok.

Na mokrym piasku leżały powykręcane wstęgi wodorostów, wysychające meduzy i napęczniałe, martwe ryby. Anka na drżących nogach pobiegła po wilgotnym, mlaskającym pod butami piaskiem w stronę cofniętego brzegu. Po kilkudziesięciu metrach dobiegł ją dobrze znany odgłos morskich fal. Ale tym razem nie działał kojąco i nie brzmiał przyjaźnie.

Zagłębiała się po kostki w mokrym, grząskim piachu i trudniej było jej iść. Omijała martwe zwierzęta morskie, których ciała puchły na powietrzu. Stała przed rozciągającym się przed nią piaskowym

bagnem, w którego zagłębieniach zatrzymała się morska woda. Grunt był tu tak rozmoknięty i niestabilny, że bała się postąpić naprzód, jednak za tym zabagnionym obszarem zobaczyła wielką taflę wody, rozciągającą się po krańce horyzontu. Woda słabo falowała, jak na jeziorze, jednak dźwięk rozbijających się o piasek fal nakładał się na siebie, tworząc chaotyczną, chorą kakofonię...

Nie mogąc tego znieść Anka ścisnęła głowę dłońmi jak w imadle i uciekła z tego miejsca. Wbiegła na plażę i popędziła przez las potykając się o swoje nogi.

Gdy już znalazła się przed bunkrem, doznała olśnienia. Nie może wpaść tam w panice i roztrzęsiona wykrzyknąć, co widziała i co się — w jej przypuszczeniach — stało.

Drżącymi rękami wyciągnęła z kieszeni telefon komórkowy i pośpiesznie nakładając jedną słuchawkę na ucho włączyła radio.

Usłyszana w nim audycja spowodowała, że zbladła, usiadła na piasku i ukryła twarz w dłoniach. Układając w głowie słowa przemowy do swoich podopiecznych nie powstrzymywała łez.

Cztery minuty później...

Biegli ile mieli sił w nogach. Po drodze minęli kilka trupów porzucanych beładnie po placu przed ośrodkiem. Anka miała ochotę przeszukać któregoś z nich w poszukiwaniu papierosów, ale zrezygnowała z tego z uwagi na nieznaną sposobem przenoszenia dziwnej choroby.

Pojawił się nawet żywy człowiek, który jednak nie wyglądał na sympatycznego turystę. Wwiercał wściekle oczka to w Ankę, to w chłopaka, po czym z mrozącym krew w żyłach okrzykiem bojowym rzucił się na oboje. Anka i jej podopieczny odskoczyli od siebie, rozpraszając uwagę napastnika, który wyglądał na zdezorientowanego. Anka podniosła broń i wymierzyła w intruza. Pozytywnie zaskoczyła ją reakcja podopiecznego, który wyciągnął zatkniętą za paskiem metalową rurkę.

Przeciwnik jednak zauważył przewagę rywali i podjął próbę ucieczki, jednak zdeterminowana Anka strzeliła mu w plecy. Napastnik upadł i już się nie podniósł. Anka podniosła lufę Magnum do ust i przez chustkę zdmuchnęła dym, mrugając okiem do swojego towarzysza. O dziwo, już nie czuła najmniejszych wyrzutów sumienia. Człowiek a człowiek beznadziejnie chory na nieuleczalną, groźną chorobę — te dwa

pojęcia się całkowicie wykluczały i dotyczyły zupełnie innych kategorii, mimo że były podobne z nazwy.

Trzy godziny wcześniej...

— Moi drodzy — zwróciła się Anka poważnym tonem do swoich podopiecznych, gdy już wszyscy się obudzili i zebrali pod jej komendą. — Muszę wam powiedzieć coś ważnego. Będzie mi bardzo trudno... — zatrzymała się na chwilę.

— Pamiętacie pewnie ostatnie doniesienia na temat napiętej sytuacji między Danią a Estonią. Pamiętacie, że przez to nie mogliśmy wyruszyć na Bornholm. Mniejsza o okoliczności tego konfliktu. Muszę wam coś powiedzieć... — wzięła głęboki oddech i rozejrzała się po twarzach kolonistów, którzy nie wyglądali już na rozradowane wyjazdem nad morze dzieciaki. Podjęła:

— Polska, jako że znajduje się po drodze między stronami konfliktu, została mimowolnie w ten konflikt wplątana. Kilka bomb spadło na Bałtyk w rejonie Pomorza.

Twarze kolonistów zrobiły się blade i bez wyrazu. Wszyscy wpatrywali się w Ankę wielkimi, przerażonymi oczami, jakby zobaczyli ducha swojego przodka. Kilka dziewczyn się rozplakało, jedna nawet zaczęła rozpaczliwie krzyczeć, że chce wracać do domu.

Ta reakcja spowodowała, że Anka na tą chwilę darowała sobie poinformowanie podopiecznych o jeszcze gorszych rzeczach, jakie ich czekały. Pozwoliła dzieciakom na oswojenie się z tą przygnębiającą nowiną, nieraz tuląc i pocieszając tych najbardziej załamanych.

Gdy już większość pogodziła się z tym faktem, co zajęło około dwóch godzin, Anka zawołała do siebie co wytrzymalszych psychicznie kolonistów i porozmawiała z nimi na osobności. Powiedziała im, jak bardzo sprawa jest poważna i co usłyszała w radiu.

— Grad estońskich atomówek uderzył w Danię, większość kraju znalazła się pod wodą. W Bałtyk walnęło kilka zagubionych bomb. Teren prawdopodobnie jest skażony. Dodatkowo w rejonie Zatoki Puckiej i Jastrzębiej Góry odkryto przypadki zachorowania na dziwną chorobę. Jest to jakaś dziwna gorączka o objawach podobnych do wścieklizny, zabijająca w ciągu dwóch dób. Chory człowiek zachowuje się bardzo agresywnie i nieracjonalnie. Trzeba unikać kontaktu z chorymi. My nie

byliśmy ani w Pucku, ani w ośrodku. Być może bunkier uratował nam życie.

Zebrani patrzyli na nią tępym wzrokiem. Musi uderzyć w ich ego.

— Jesteście naszą jedyną szansą na przeżycie. Nie myślcie teraz o innych, o ludziach spoza bunkra. Myślcie o sobie. Teraz najważniejsze będzie wasze przeżycie. Walczcie o siebie, bo jesteście nadzieją dla Polski! Kraj potrzebuje takich dzielnych ludzi jak wy! Będziecie bohaterami narodowymi!

Przemowa nie odniosła oczekiwanego przez Ankę skutku, ale wydawało się, że młodzi choć w części przyznają jej rację.

— W porządku... Teraz chciałabym was o coś poprosić. Jeśli chcecie być bohaterami dla siebie i innych, musicie sobie pomagać. Ja potrzebuję waszej pomocy — Ance zadrzał głos. — Ktoś z was musi ze mną iść do ośrodka po leki, jedzenie, koce, baterie i inne rzeczy, które mogą nam się przydać, póki choroba nie dotarła jeszcze tutaj. Wrócimy do bunkra i tutaj przetrwamy najgorsze, dopóki nie przyjdzie pomoc.

— A jak pomoc nie nadejdzie? — zapytał rzeczowym tonem jeden z chłopców.

Anka spojrzała na niego, ich wzrok się skrzyżował i Anka przymknęła powieki. Nie chciała patrzeć mu w oczy, nie będąc pewna, czy to co mówi jest prawdą.

— Możemy mieć jedynie nadzieję — odparła po namyśle.

Pięć minut później...

Biegli w stronę bunkra w morderczym tempie. Anka myślała, że gdy dobiegnie do jego wrót, upadnie i umrze. Chłopak ubiegł ją i stał przy wejściu. Dyszał jak miech, pochylił się i opierając dłonie na kolanach wpatrywał się w biegnącą towarzyszkę.

Gdy Anka już dobiegła i odpoczywała, stał przy niej i nie odważył się wejść do bunkra zanim wychowawczyni mu nie pozwoli. Ta jednak machnęła ręką i powiedziała przerywając wypowiedź łapczywymi oddechami, żeby wszedł bez niej, gdyż ona musi jeszcze odpocząć.

Chłopak kiwnął głową i zniknął we wnętrzu bunkra.

Anka oddychała głęboko oparłszy się o rachityczną sosenkę, ale wkrótce oddech zmienił się w rozpaczliwy szloch, a ona sama bez sił opadła na kolana.